DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I. Poznań 20 marca, 1888 r. Nr. 9.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr 25 cent. ćwierćrocznie, z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski" w expedycyi, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w expedycyi, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, I. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko expedycya, lub redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

Ksiądz Franciszek Leksycki,

sławny malarz polski.

Ważną kartę w dziejach sztuk pięknych w Polsce zajmuje zagadkowa jeszcze postać Franciszka Leksyckiego, znakomitego malarza przeszłości. Dzieła jego są dlań najpiękniejszym pomnikiem, ale te z czasem uledz mogą zniszczeniu, lub zatracie, dla tego godziłoby się zająć na seryo wyśledzeniem jego żywota, ocenieniem jego prac i rozpowszechnieniem w ilustracyach najważniejszych jego dzieł. To, co dotąd wiemy o Leksyckim gruntownie, ogranicza się na krótkiej wzmiance współczesnej w dziele „Kalwarya, albo nowe Jeruzalem na polach Zebrzydowskich zasadzone" przez Ks. Franciszka Dzielowskiego, kustosza krakowskich Bernardynów pisana i w Krakowie roku 1669 wydrukowana. Tamże na str. 136 przy wymienieniu budowli, podjętych przez Michała Zebrzydowskiego, miecznika koronnego, wnuka fundatora Kalwaryi, podaną jest kaplica „ukrzyżowania Pana Jezusa", a przytem wydrukowane, co następuje:

„obrazy cztery na gorze Kalwaryi w kaplicy ukrzyżowania wielkim kosztem wystawił, które jeden kapłan zakonu naszego de obserwantią, ojciec Franciszek Lexycki, biegły w sztuce malarskiej y rownego nietylko w Polszce, ale y w dalszych prowincyach nie mając, tenże y na kustodyą krakowską do kościoła św. Bernardyna na Stradom trzy obrazy wielkie do ołtarzów wystawił, tandem w Grodnie w roku przeszłym 1668 umarł."

Wielkich rozmiarów obrazy te, na górze Kalwaryi w kaplicy umieszczone, przedstawiają: „Przybicie Pana Jezusa do krzyża", „Ukrzyżowanie", „Zdjęcie z krzyża" i „Namaszczenie." Artysta zapewne z powodu skromności zakonnej nie podpisywał się na pracach swoich, tylko kreślił swój monogram w kształcie dwóch kości (piszczeli) złożonych na krzyż, i nad temi trupiej głowy.

Ks. Franciszek Siarczyński w dziele swem: „Obraz wieku panowania Zygmunta III", pisząc o Franciszku Leksyckim, powiada, że był on malarzem obrazów męki Pańskiej na kalwaryi Zebrzydowskiej w kaplicy umęczenia Pańskiego, „które od znawców za dzieło wybornej sztuki są poczytane. Wędrowny Anglik dawał zakonnikom za jeden po 200 funtów szter. gdyby mu je ustąpić chcieli." Wyżej sobie cenili dzieła te owocześni zakonnicy, niż sumy pieniędzy, im zań ofiarowane, skoro obrazy dotrwały do dziś dnia na swojem miejscu.

W roku 1871 dnia 6 września przez nieostrożność wszczął się pożar w sąsiednim budynku kaplicy ukrzyżowania i nad nią samą zajął się dach; wtedy, aby ocalić sławne obrazy, wydarto nagle obraz ukrzyżowania z ram, ale po ugaszeniu ognia włożono go w swoje miejsce. Ślady jednak tego przypadku na dziele mistrza pozostały.

Ambroży Grabowski, znany badacz naszej przeszłości, trafiwszy raz na ślad malarza Leksyckiego, przyczynił się głównie do rozpowszechnienia sławy dzieł jego, o czem już tylko głuche wieści się rozchodziły. Odkrył on w r. 1829 w kościele na Stradomiu u OO. Bernardynów wizerunek Leksyckiego, olejno na płótnie malowany, bez ram, gwoździmi do muru przybity.

Wśród różnych kolei na świecie zmarniał ten drogocenny portret; szczęściem, że istniał rysunek, z oryginału zdjęty przez Józefa Sontaga, artystę-malarza, w Krakowie zamieszkałego, i wedle tegoż rysunku lichą reprodukcyą podał „Przyjaciel ludu" (Leszno, r. 1836, tom I, str. 184), a poprawną litografią zamieścił „Słownik malarzów polskich przaz Edwarda Rastawieckiego" wydany r. 1850 w Warszawie.

Na podstawie opowiadań w klasztorach Bernardynów, tradycyjnie powtarzanych, wspomnianemu Grabowskiemu udało się tyle dowiedzieć o Leksyckim, iż tenże urodził się w Krakowie. W aktach miejskich krakowskich już od roku 1541 napotyka się nazwiska tej rodziny. Dla wykształcenia się w malarstwie miał Leksycki jeździć do Włoch; miał być żonatym, ale nie mogąc się doczekać potomstwa, wstąpił do zakonu OO. Bernardynów, co i jego żona uczyniła, przywdziawszy sukienkę zakonną u panien Bernardynek u św. Józefa w Krakowie.

W zakonie oddawał się Leksycki z wielkiem zamiłowaniem sztuce malarskiej, o czem świadczą liczne jego obrazy po kościołach w Polsce, nietylko klasztornych, ale i parafialnych. Niektóre z nich są naśladowaniem sławnego w tym czasie Rubensa, zwanego w Europie „księciem sztuki malarskiej"; niektóre oryginalne, jak n. p. owe rozgłośne Leksyckiego dzieła na górze Kalwaryi, o których z wielkiem uszanowaniem rozpisują się cudzoziemscy po-

dróżnicy. Grabowski i profesor Łepkowski (Kalwarya Zebrzydowska. Kraków, r. 1850) przytaczają wyjątki z owych pism.

Zarzucają niektórzy krytycy Leksyckiemu naśladownictwo Rubensa, co przy rozpatrzeniu się w historyi sztuki pokaże się naturalną rzeczą. Takie gieniusze, jak Rubens, muszą potężnie oddziaływać na całą współczesną, a nawet i następną generacyą adeptów sztuki, dla czegożby to ubliżać miało naszemu Leksyckiemu?... chociaż tenże w oryginalnych swych pracach pozostał samym sobą tak w kolorycie, tak w technicznem traktowaniu, jak w kompozycyi i w charakterystyce pojedyńczych postaci. Znać w Leksyckim wpływ Rubensa utworów — zwłaszcza w technicznej stronie sztuki — ale w obrazach jego religijnych wybitniejszą jest wiara, niż u holenderskiego mistrza; silniejsze wrażenie wywierają na umysł ludzki dzieła treści religijnej, przez Leksyckiego wykonane, niż przez Rubensa, o czem się może każdy przekonać, stanąwszy przed owemi czterema obrazami w kaplicy ukrzyżowania na Kalwaryi. Tem silniejszy wyrazić się godzi żal przy niniejszem wspomnieniu o naszym Leksyckim, że dzieła jego, przynoszące zaszczyt całemu narodowi, świadczące tak znakomicie o stanie kultury w dawnej Polsce, nie są jeszcze w żaden sposób reprodukowane. Ilustrowane pisma polskie, zamieszczające we wspaniałych reprodukcyach utwory dzisiajszych artystów narodowych i obcokrajowych, nie zdobyły się jeszcze na odtworzenie tak bardzo cennych dzieł Leksyckiego.

Uczeni nasi dzisiajsi w dziedzinie sztuki rozprawiają i spory swoje o monogramy obcych malarzy, którzy u nas bawili. drukują we wydawnictwach naukowych z licznemi ilustracyami, a tak ważną i ciekawą postać narodową w sztuce, jaką jest bezsprzecznie Leksycki, ignorują i nie postarają się o napisanie żywota jego na podstawie poważnych i gruntownych studyów, zebranych w odpowiednich miejscach, gdzie się ich szukać należy.

Walery Eliasz.

O! Matko-Polko.

O! matko-Polko, kiedy twoje dziecię,
Znużone nauk pracą całodzienną,
Kolana twoje uściskiem oplecie,
Główkę swą na nie składając pół-senną,

Uzbrój je w wiary nieśmiertelnej słowo,
O! matko-Polko, klęknij ty z niem razem
Przed przenajświętszej Maryi obrazem,
I zmów z niem pacierz rodowitą mową.

I przodków dzielnych opowiedz mu dzieje,
Niech ich wspomnieniem serce dziecka bije,
To, co zciemniało, niechaj zajaśnieje,
To, co zamarło, niech w słowie odżyje;

To, co zawiędło, niech zakwitnie z nowa,
To, co rozpierzchło, w nowy węzeł splecie,
I to, co deska pokryła grobowa,
Co przemoc więzi, co niewola gniecie,

To wszystko z gruzów niech zmartwychpowstanie,
O! matko-Polko, przez twe słowo święte!...
Co, jak w dźwięk pieśni natchnionej ujęte,
Obudza zapał, wiarę i wytrwanie.

Dziś — gdy najświętsze potargane prawa,
Gdy grom po gromie w gmach pamiątek bije,
Gdy zewsząd sideł zdradzieckich obława
Zasadzki ściele i przepaści ryje,

Ty, matko-Polko, stój dzieciom na straży,
Ale stój silna i niepokonana;
A urąganiom u świętych ołtarzy
Odpowiedz modłą, wzniesioną do Pana.

Zbrój do męczeństwa młode pokolenie,
Aby sił w walce burze nie stargały,
O! matko-Polko, ty nieś nam zbawienie,
Ty nam nieś sztandar do zwycięztw i chwały.

Józef Siemianowski.

WILLA ERLACH.

Powieść przez **Ossipa Schubina.**

Z języka niemieckiego tłomaczyła **A. P.**

(Ciąg dalszy.)

Tymczasem Stella tym samym gorzko-wesołym tonem opowiada dalej:

— Jeżeli nareszcie jeden z tych właścicieli zdecydował się ostatecznie gdzie postawić fortepian, wtenczas rozesłał zaproszenia do sąsiadów, żeby podziwiali wspaniałe jego urządzenie. Mama nie wychodzi nigdzie, ale mnie pozostawia zupełną wolność, nie troszcząc się, co ja robię i z jakimi ludźmi przestaję.

Przy tych słowach głos Stelli zadrżał, małą rączką szybko przetarła oczy i po chwili opowiadała znów dalej:

— Okolica cała pełna jest turystów, na czem i przechadzki ucierpiały niezmiernie. Kręcą się ciągle po lesie, śpiewając na przemiany: „Ktoż cię stworzył, piękny lesie“, albo „Pieśni Bachusa.“ Po ich odejściu piękny las oszpecony jest resztkami prowiantów, zatłuszczonemi papierami i skórkami od szynki i kiełbasy. Co do mnie, szczerze tę kolej przeklinam, bo oprócz powyżej wspomnianych przyjemności zabrała nam najpiękniejszą część naszego ogrodu, że nawet obrócić się w nim nie można. Oprócz tego pierwsze piętro młyna i kawałek ogrodu wynajęła mama na letnie mieszkanie jakiejś rodzinie z Pragi.

— Nie pojmuję Liny, doprawdy! — mruknął rotmistrz — nie jesteście przecież w takich smutnych stosunkach, żeby mały wasz domek jeszcze odnajmować.

— Ba! kiedy mama właśnie potrzebowała pieniędzy na zakupienie całego zbioru słownika Littve'go, prawdziwy biały kruk! Zresztą lepiej sobie nasze położenie wystawiasz, niżeli jest w rzeczywistości. Przeklinam kolej, a jednak niesłusznie, bo gdyby od nas nie była zakupiła kawałka ziemi na wybudowanie składów, nie wiem doprawdy, z czegobyśmy dziś żyły. Mój Boże! gdyby ten dobry ojczulek widział dzisiajsze nasze gospodarstwo, on, co sobie domu nie mógł wystawić bez lokaja i panny służącej. Służącego mama zaraz w początku odprawiła li tylko ze względów moralności.

Anastazya spuszcza skromnie oczy.

— Czyś pan słyszał kiedy coś podobnego u młodej, z dobrego domu panienki?

Rohritz za całą odpowiedź wzrusza niecierpliwie ramionami, a Stella mówi dalej niezmieszana:

— Umizgał się do kucharki, którą panna służąca wydała, będąc sama nim zajętą. Pokojówkę oddaliła mama ze względów finansowych, a kucharkę z powodów zdro-

wia. Pewnego pięknego dnia byłaby nas wszystkich otruła, gotując w niepobielonych, koprowych naczyniach. Do tego czasu inna jej nie zastąpiła, bo w czasie bezkrólewia, to jest, kiedyśmy szukały innego „cordon bleu“, mama doszła do przekonania, że bez kucharki doskonałej obyć się możemy. Ostatnia nasza pokojówka była małą, garbatą osóbką, i mama przyjęła ją tylko dla tego, bo sądziła, że z powodu kalectwa wolną będzie od wszystkich miłostek.

Stella przerywa zajmujące to opowiadanie i śmieje się wesoło.

— Ale prawdziwy geniusz toruje sobie drogę przez największe przeszkody i mama wzbogaciła się o jedno smutne doświadczenie, że nawet największy garb nie stanowi przeszkody w zdobyciu czyjegoś serca.

Rotmistrz śmieje się serdecznie. Zgorszenie Stazyi dosięga szczytu; zniecierpliwiona zwalnia ręce Rohritza z gwałtem nałożonego nań obowiązku.

— Coby też ojciec na to powiedział, gdyby żył? — mówi Stella zamyślona nagle zmienionym głosem.

— Czy zawsze jeszcze tak tęschnisz za ojcem? — pyta rotmistrz z litością, widząc, że Stella na wspomnienie zmarłego z trudnością łzy powstrzymuje.

— Nie pytałbyś mię, gdybyś wiedział, jakie ja życie pędzę — mówi stłumionym głosem — dla słuchaczy jest ono niby zabawnem, ale mnie, co je pędzić muszę!.... Ba! ale cóż mi pomoże, myśleć o tem — dodaje pochylając się nad smacznie śpiącym na ramieniu ojca Fredziem. — Jak mu tu dobrze! — mówi stłumionym głosem odpędzając natrętnego komara z twarzyczki chłopca.

— Zaczyna być chłodno — odzywa się Katty, przerywając zajmującą rozprawę bratowej i patrząc z trwogą na synka — daj mi chłopca, Janie — mówi, przystępując do męża — zaniosę go na górę.

— Co? tybyś chciała go dźwigać, to dopiero pomysł! — zaczyna sprzeczny rotmistrz.

Freddy budzi się przy tej rozmowie i pogrymasiwszy trochę zwyczajem zaspanych dzieci, decyduje się w końcu odejść, powiedziawszy wszystkim „dobra noc“, odprowadzony przez matkę do swego pokoju.

— Ktoś drugi usnął także — woła Katty, — przechodząc obok generała, który ze zwieszoną na piersiach głową i skrzyżowanemi rękoma leżał wyciągnięty w fotelu.— Obudź go, Janie, bo być może, że i mumie nabawić się mogą reumatyzmu — mówi złośliwie. — A ty, kochanko — dodaje, zwracając się do Stelli — bądź łaskawą wypakować nuty i zaśpiewaj nam cośkolwiek. Tymczasem każę przygotować stolik do wista.

Baronowa postanawia nuty wypakować sama z obawy przed uporządkowanemi manuskryptami; obiedwie więc ze Stellą udają się na górę.

— Co mówisz na to wszystko, baronie! — wybucha Stazya ze złością. — Czy takie rozmowy prowadzi panna dobrze wychowana? w takim razie u niej na niejedno przez szpary patrzeć trzeba.

— Biedne dziewczę — była jedyna odpowiedź Rohritza.

— Tak, jest godną pożałowania, wychowanie jej było *déplorable* — wzdycha Stazya, a stłumionym głosem dodaje — Mąż baronowej....

— Któryż to z Meineków? przerywa Rohritz niecierpliwie, kilku ich służyło w armii, czy mąż baronowej był w ułanach, czy w huzarach?

— Szwagier mój, Franciszek Meineck, służył w brązowych huzarach — odparł rotmistrz.

— Czy to ten, co po bitwie pod Solferino za dzielność udekorowany został krzyżem św. Teresy?

— Ten sam, odpowiada rotmistrz zamyślony.

— Nie wiem dla czego, ale zdawało mi się, że to był Henryk Meineck. Franciszka nie znałem osobiście, ale dużo o nim słyszałem; chwalono go, jako przełożonego, uwielbiano, jako towarzysza, a przytem był jednym z najdzielniejszych żołnierzy armii.

— Szczególniej odznaczał się, jako mąż... wtrąca Stazya ze swoją niepowstrzymaną zjadliwością. —

— Nie mówmy o tem, panno Stazyo, napomina ją rotmistrz poważnie, małżeństwo mojej siostry było nierozważnym wybrykiem; szwagier mój dał niejeden powód, zmuszający ją do rozwodu, ale w każdym razie z tego małżeństwa jemu przykrzejsza część dostała się w udziale.

ROZDZIAŁ V.

Tak, nie ma wątpliwości, że baronowi przykrzejsza część przypadła w udziale! Pomimo, że nie był bez winy, miał jednak wszystkich sympatyą za sobą, a szczególniej tych ludzi, którzy, zapatrując się filozoficznie, nie przelewają całego zasobu sympatyi i współczucia na tych, którzy niezasłużenie cierpią. —

Oboje poznali się w domu ojca jej, generała Leskjewitza, we Lwowie; on miał zaledwie lat dwadzieścia sześć, ona skończyła trzydzieści dwa. Pomimo to świat, znając ich oboje, dziwił się więcej jej skłonności, niż jemu, że go oczarowała.

Karolina Leskjewitz od najmłodszych lat należała do interesujących, wyjątkowych kobiet. Nie starając się nigdy o to, wyrobiła sobie jednak w kołach towarzyskich, w których się obracała, zupełnie odrębne stanowisko. Dzięki pobłażliwości jej otoczenia, stawała się z wiekiem coraz oryginalniejszą, a że przytem była bardzo ładną, czasami nawet uprzedzająco grzeczną i uprzejmą, że ojciec jej wysokie zajmował stanowisko, patrzano przez szpary na to, co u innych panien wyszydzonemby zostało, i miano ją za istotę niezwyczajną, genialną prawie. — Podobne wyróżnienia mogłyby zrodzić u innej istoty bezmierną próżność, Karolinie jednak zarozumiałości, chęci błyszczenia i wyróżniania się zarzucić nie było można. —

Już, jako dziecko, posiadając wybitne zdolności, w dwudziestym roku została skończoną *bas bleu;* studyowała sanskryt i korespondowała z największymi uczonymi całej Europy. — Usposobienie jej nic na tych wyczerpujących zajęciach nie ucierpiało, charakter jej pozostał żywym i pełnym chęci do życia; pływała z odwagą najdzielniejszego nurka, jeździła konno ze śmiałością cyrkowej amazonki, gardząc wszelką męzką opieką. Jedyną rzeczą, do której miała niepokonany wstręt, był taniec; raz tylko w życiu była na balu w roli spektatorki. Z ironicznem spojrzeniem ścigała przesuwające się pary, twierdząc, że taniec wydaje jej się dziecinnem, nad wyraz śmiesznem i monotonnem zajęciem. Z tym samym wzgardliwym uśmiechem przyjmowała składane jej hołdy; komplimenta zwykłej tuzinkowej młodzieży nudziły ją okropnie. — Chwaliła się często tem, że w życiu dla trzech osób tylko większą miała sympatyą — dla: Bonapartego, lorda Byrona i Bakunina.

Ogólne też zapanowało zdziwienie, szczególnie w żeńskiem gronie jej znajomych, kiedy rozeszła się wiadomość, że zajęta jest młodym Franciszkiem Meineck, służącym w brązowych huzarach, nic nieznaczącą osobistością, za którą jedynie przemawiała niezwykła uroda, piękne blond włosy i pełne ognia obejście.

Co jego zachwyciło?... na to pytanie każdy łatwą mógł dać odpowiedź; oczarowała go jej południowa, ciemnowłosa piękność, zimne, odpychające prawie obejście tak sprzeczne z ognistą jej naturą, męzka szorstkość w jej nawyknieniach, tajemniczość, otaczająca całą jej istotę, a wreszcie i ta okoliczność, że, będąc dla innych odstręczająco-niegrzeczną, w obejściu z nim inną przybierała postać. Ale co jej się w nim podobać mogło, nad tem lwowskie towarzystwo napróżno łamało sobie głowy.

Ogólnie utrzymywano, że jej się Meineck podoba, a ona sama nie przeczyła temu nigdy. Razu pewnego po skończonym proszonym obiedzie, przy którym Meineck dotrzymał jej towarzystwa, jedna z równie uczonych przyjaciółek zapytała Karolinę ze złośliwym uśmiechem, o czem przez cały obiad z tak mało obiecującym huzarkiem rozmawiać mogła?

— Wierzaj mi, moja droga — odparła panna von Leskjewitz — że wolę rozmawiać z mało obiecującym huzarem, niż patrzeć na jedzących uczonych, szczególniej kiedy obiad

jest dobrze podany, bo wtenczas zajmującej rozmowy z nimi doczekać się nie można.

Podczas kiedy Meineck od samego początku kochał Karolinę gorącą, fanatyczną prawie miłością, jej uczucie w łagodniejszy objawiało się sposób. Uważała go za dziecko i nie przypuszczała nigdy, aby stosunek do ołtarza doprowadził ich oboje. Obejście jej względem niego było napół przyjacielskie, czasami złośliwością lekką nacechowane, to znów macierzyńsko-serdeczne; miłości nie było ani śladu.

Było to w końcu lutego; wiosna zdradliwa zdawała się już ustaloną, chociaż przeczuwano, że te przedwczesne ciepła późniejszemi zimnami odpokutować przyjdzie. Korzystając z pogody, Lina Leskjewitz odbywała codziennie dalekie przechadzki konne, wyjątkowo pozwalając sobie towarzyszyć młodemu Meineckowi, który na koniu był w swoim żywiole. Z jednej z takich przejażdżek powróciła do domu z rumieńcem na twarzy i błyszczącemi oczyma, a dziwna obawa ściskała jej serce. Ona — przywykła do nieograniczonej wolności, wiedziała, że prędzej, lub później więzy miłości uciążliwemi jej się staną; nie mogła i nie chciała iść za mąż.

Następnego dnia, opowiedziawszy się tylko najbliższym, wyjechała ze Lwowa.

W towarzystwie starego ogrodnika i pokojówki udała się do małej wioseczki, własności swej osobistej w okolicy Pragi, gdzie, nie tęschniąc za życiem towarzyskiem, sama spędzała tygodnie i miesiące.

Mieszkała w starym opuszczonym młynie, a jednak urocze, nadzwyczaj poetyczne było to gniazdeczko. Gałęzie rozłożystej, płaczącej wierzby rozpościerały się na starym, omszałym dachu; mały strumyk z zielonemi brzegami, pełnemi konwalii i niezapominajek płynął opodal po żwirowym piasku, z szumem wpadając do rzeki.

O tej porze jednak konwalie i niezapominajki przykryte były grubym śniegiem, a strumyk cicho spoczywał w żelaznych objęciach lodu. Ludzkie przepowiednie sprawdziły się — w marcu najcięższa była zima. Długie sople lodu zwieszały się od dachu prawie ku oknom młyna, płacząca wierzba połyskiwała na słońcu w swej śnieżnej, zimowej sukience.

Lina Leskjewitz całe dni spędzała w wielkim, pustym prawie pokoju, zatopiona w książkach i studyach, coś jak kobiecy Dr. Faust, chcąc stać się, jak dawniej, na wszystko inne obojętną, co w zakres nauki nie wchodziło.

Pewnego dnia służąca oznajmiła jej przybycie Meinecka. Przyjęła go ze sztuczną, wesołą obojętnością, siedząc przy biórku z piórem w ręku, jakby mu chciała okazać, że dłuższa wizyta nie byłaby z jej strony pożądaną.

On patrzał na nią stęschnionemi oczyma, siedząc na fotelu, z którego pierwej stos gazet uprzątnąć trzeba było — onieśmielony widokiem nagromadzonych ksiąg i porozrzucanych papierów. Pomimo oryginalnego otoczenia wydała mu się cudownie piękną. Ciemno-szafirowa suknia, prostotą kroju przypominająca amazonkę, wdzięcznie obejmowała cudowne jej kształty, z natury wijące się bujne jej włosy, krótko obcięte, spadały na alabastrową szyję; jemu ten ubior i to uczesanie wydały się zachwycającemi, tak pełnemi prostoty!

Obraz jej w tej chwili na zawsze wyrył mu się w pamięci i później, w pełnej cierpień godzinie śmierci ujrzał ją taką samą, taką szlachetną, tak cudownie piękną, na jaką w tej chwili rozkochanemi patrzał oczyma.

Dziwił się później sam sobie, że miał odwagę odezwania się, ale ją miał w tej chwili.

Prosił o jej rękę w gorących, namiętnych słowach. Ona odmówiła. Nie chciał ustąpić, nie chciał tak łatwo zrzec się tego skarbu. Karolina broniła się usilnie czarownym planom wspólnej ich przyszłości, wyznała mu otwarcie, że chociaż niełatwo przychodzi jej się wyrzec jego miłości, musi to uczynić, musi odmówić w interesie późniejszego, wspólnego ich pożycia. Szlachetnego będąc charakteru, uważała za rzecz niesumienną chwytać za słowo rozmarzonego biedaka, który w przystępie szału prosił o rękę starszą od siebie dziewczynę.

Wypowiedziała to łagodnym, serdecznym tonem, nie patrząc w błyszczące jego oczy; on, szalejąc prawie, leżał u jej nóg, całując rąbek sukni. W końcu przyrzekł odjechać, wymogłszy na niej pozwolenie powrotu po upływie sześciu miesięcy, chcąc dać dowód, że uczucie jego nie było chwilowym, gorączkowym szałem.

Panna von Loskjewitz, opierając białe, kształtne swe ręce na ramionach młodzieńca, odparła przyjaźnie:

— Drogie dziecię, jeżeli po sześciu miesiącach będziesz tyle nierozsądnym, żeby tęschnić za starą narzeczoną, to wtenczas obszerniej pomówimy o tem. A teraz do widzenia!

Podała mu rękę, którą on namiętnie do ust przycisnął i całował tak długo, że mu ją wyrwać musiała.... krew uderzyła jej do głowy, szybko odwróciła twarz, nie chcąc się zdradzić silnym rumieńcem i silniejszem wzruszeniem.

— Do widzenia — powtórzył z głębokim ukłonem, wychodząc z pokoju; rumieniec, którego dawniej upatrywał napróżno, był dobrą wróżbą dla niego. Głos jego brzmiał tryumfująco, tak jej się przynajmniej zdawało, kiedy, powtarzając raz jeszcze słowa pożegnania, słuchała oddalających się kroków. Chód jego był lekki, biegł, jakby mu skrzydła u nóg powyrastały, jakby był pewien zwycięztwa.

Szalony gniew pokonał poprzednie chwilowe wzruszenie; silna jej natura broniła się przeciwko temu zdradliwie wciskającemu się uczuciu, które, uwięziwszy jej serce i rozum opanować chciało. Ale napróżno! Ręka, na której tak namiętne wyciskał pocałunki, paliła ją gorączkowo... dziwnie słodkie, nigdy przedtem niedoznane uczucie opanowało bezwiednie całą jej istotę. Starała się przemodz i zebrawszy porozrzucane papiery, napowrót usiadła przy biórku — ale rozproszonych myśli zebrać nie mogła, pióro wypadało z drżącej ręki. Zaniepokojona własną słabością, wybiegła na długą, daleką przechadzkę. Nie było mrozu i ciepły, południowy wietrzyk strząsał śnieg z dachów i krzewów; nogi jej zapadały po kostki w rozmiękłym śniegu, lodowa powierzchnia strumyka pękała z wesołym trzaskiem. Silne znużenie zmusiło ją do prędkiego powrotu i wcześniej, niż zwykle, udała się na spoczynek. Chcąc nagrodzić stracone popołudnie, zaczęła się zastanawiać nad poważnemi, zawiłemi kwestyami, ale wszystko daremnie! dawno zapomniane melodye zagrały w jej duszy i sercu i ukołysana słodkiemi marzeniami zasnęła głęboko. Dziwny szmer obudził ją wśród nocy; księżyc łagodnym blaskiem oświecał ciemny pokój, zerwała się z łóżka i pobiegła do okna Z wesołym szumem i trzaskiem tuż pod jej oknami oswobodzony z lodowatych objęć płynął szybko po kamieniach strumyk, zwiastun nadeszłej wiosny.

Słuchała zamyślona tej dziwnej muzyki wiosennej, której wtórowało powolne, monotonne opadanie kropel wody z roztajałego dachu.

— Ach! — szepnęła — więc to już wiosna nadeszła?

Franciszek Meineck pisywał do niej często długie listy, pełne męzkiego ognia i tęschnego oczekiwania, nie otrzymując nigdy odpowiedzi. Wybuchła wojna 1859 roku. Jeden z braci doniósł Karolinie, że Meineck, służący dotychczas w nieczynnym pułku, przeszedł do innego, który natychmiast miano wysłać na plac bojowy. W kilka dni po otrzymaniu tej wiadomości otrzymała od niego samego następujący bilecik:

„Dotąd każda wojna przejmowała mnie zgrozą, że tyle ofiar pochłania; teraz innego jestem zdania — cieszę się, że wybuchła, bo chcę okazać Pani w walkach z nieprzyjacielem, do czego jestem zdolny. Przed odjazdem pragnę uzyskać wielką łaskę!... Jako talizman, mający mi przynieść szczęście, chciałbym zabrać na plac boju kilka wyrazów, pisanych ręką Pani, jaką drobnostkę, jaki klejnocik, który Pani zazwyczaj nosiła, lub — jeśli to możebnem — jeden

zwój Twych ślicznych, hebanowych włosów. Całuję Twoje drogie dla mnie ręce i pozostaję pełnym uszanowania i poważania. *Franciszek Meineck.*"

Czytając powyższe wyrazy, zakryła rękoma twarz i gorzko załkała. I ta istota, co całe życie szydziła z podobnych sentymentalności, bez wahania odcięła promień włosów, włożyła do ulubionego złotego medalionu, odsełając go z następującemi wyrazami:

„Drogie dziecię! Pociągasz mnie do szalonej odpowiedzialności; nie potrzebowałeś szukać niebezpieczeństwa, ażeby okazać swoję wartość. Załączam życzoną drobnostkę, niech Ci przyniesie szczęście i błogosławieństwo Boże. Szczęśliwego powrotu do domu i swoich życzy Ci i pragnie z całego serca

wierna i życzliwa przyjaciołka

Karolina Leskjewitz."

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KORESPONDENCYA „DOMU POLSKIEGO."

Poznań, d. 19 lutego.

Wiosna bywa wesoła,
trzy miesiące niesie:
marca, kwietnia i maja,
pięknie w polach, w lesie!....

Tak mawiano u nas, kiedy jeszcze więcej ceniono przypowieści i przysłowia, niż dzisiaj. Tymczasem do marca roku bieżącego przypowieści tej zgoła zastosować nie można. Obecnie u nas jeszcze panuje twarda zima, a zamiast zielenią pola, łąki i lasy pokryte są grubą warstwą śniegu.

Do mrozów i śnieżnej zawiei w tygodniu ostatnim przyłączyła się u nas jeszcze i powódź i to skutkiem zatamowania się lodów. Ukochana Warta nasza wprawdzie nie pohulała tak bardzo, jak matka-Wisła pod Krakowem i Warszawą, ale, mimo to, wzrosłszy prawie do piętnaściu stóp zagraża dolnej części naszego miasta. Cała Dębińska ulica poza Poznaniem zalana wodą, a ktoby się chciał dostać do Dębiny, musiałby się kazać przeprawić na łódce. Tym też tylko sposobem komunikować się mogą tamtejsi mieszkańcy z miastem, a chociaż takie podróżowanie przypomina w pewnej mierze piękną Wenecyą, interesowane osoby wcale z niego nie są zadowolone.

Gorzej jeszcze w dolnej części samego miasta. Zimny i mokry gość, aczkolwiek nieproszony, nawiedził sklepy niektórych kamienic przy ulicy Łąkowej, Wszystkich Świętych, Wielkich garbar, a szczególnie Piaskowej i tylnego Chwaliszewa. To też przechodzień w tej części miasta zbyt często w dniach ostatnich mógł widzieć, jak bieda nasza chroniła swe graty przed niebezpiecznym żywiołem, uciekając do krewnych i znajomych. Szczęśliwi, którzy przynajmniej znaleźli litościwe serca.... ale nie wszyscy je znaleźli!

Miejmy nadzieję, że św. Józef, uważany w rozmaitych krajach za patrona wiosny, usunie wreszcie lody i śniegi, osuszy pola i „przyprowadzi nam dobre słonko," jak o nim powiadają Hiszpanie (fará bon sol).

Tego „dobrego" i łaskawego słońca potrzeba naszej wielkopolskiej ziemi w tym roku więcej, niż kiedykolwiek.

Kto obecny był na rozprawach tegorocznego walnego zebrania centralnego „Towarzystwa gospodarczego na W. Ks. Poznańskie," które się na początku bieżącego miesiąca w mieście naszem odbyło, ten przyznać musi, że nastrój całych obrad poważniejszym był, niż dawniejszemi laty, jak w ogóle liczniejsze były skargi i żale na rok ubiegły, a nadzieje i życzenia na rok przyszły. Nie uskarżano się tyle na nieurodzaje, (owszem nieba zeszłego roku nie poskąpiły naszej glebie swych darów) ile na nizkość cen za płody rolne i gospodarczo-przemysłowe produkta.

Na walnych zebraniach innych towarzystw, które w bieżącym miesiącu u nas także obradowały, jak: „Towarzystwa czytelni ludowych" i „Towarzystwa pomocy naukowej im. Marcinkowskiego" tak samo liczne skargi, a liczniejsze jeszcze życzenia były na porządku dziennym Jak gleby ojczystej z pod naszych nóg, tak też nam ubywa rąk, co na niej pracowały, a patrząc wokoło, coraz mniej widzimy współpracowników na niwie, po ojcach odziedziczonej. W tej mierze oby niebo przede wszystkiem było tego roku dla nas łaskawsze!

Nowe też nadzieje w sercach wielu z nas powstały ze zmianą rządów, której się w tych dniach doczekaliśmy. Tak zawsze bywało! Kto zbyt długo otoczony był ciemnościami, wita każdy promień świątlejszy, nie bacząc na to, że może wnet go znów pokryją gęste chmury. Zresztą wyznać można śmiało, że dotychczasowe manifesty rządowe nowego cesarza niemieckiego Fryderyka dosyć sympatyczne echo znalazły w całym kraju. Wyrażone w nich ideje i życzenia co do szkół i kościoła tak odpowiadają życzeniom ogółu, że tylko pragnąć można, ażeby się w czyn zamieniły. Oby jednak tylko przy nowych reformach, których się powszechnie w Prusach spodziewają, nie zapomniano o polskiej ludności i nie pozostawiono jej w położeniu wyjątkowem, którego od tak dawna doświadcza.

W tak ciężkiej naszej doli dziwić się nie można, że powstała u nas zupełnie na czasie myśl odbycia pielgrzymki do grobu św. Wojciecha w Gnieźnie. Wszystkie nasze pisma bez wyjątku myśl tę powitały sympatycznie tak, że już wątpić nie można, iż pielgrzymka przyjdzie do skutku. Oby u grobu patrona Polski, Czech i Morawii zdołał lud polski uprosić Boga, ażeby jak najwcześniej dni ogólnego smutku zamienił na chwile radości, twardą naszę dolę na czas szczęścia i dobrobytu tak pod ekonomiczno-społecznym, jak przede wszystkiem pod religijnym i narodowym względem.

Żegota.

Nowe powieści Elizy Orzeszkowej.

W księgarniach warszawskich pojawiło się kilka nowości. Nie są to właściwie nowości, bo drobnostki te były już drukowane w różnych pismach, a obecnie ukazały się zebrane w tomikach.

Najcelniejsze miejsce należy się dwom tomom pani Elizy Orzeszkowej. Jeden z nich nosi napis: „Panna Antonina," drugi: „Wieczor zimowy."

„Panna Antonina" jest tylko jedną z powiastek, zapełniających książkę. Autorka dała tu sylwetkę nauczycielki, entuzyastki, rozmiłowanej w hasłach tegoczesnych. Biedna panna Antonina pozbawioną była wiedzy, a żywiła cześć bezgraniczną dla tej potęgi, pragnęła ją zdobyć dla siebie i rozdzielać wokoło, trudziła się bardzo, lecz małe osięgała korzyści z trudów swoich z powodu braku odpowiedniego przysposobienia. Czytywała dzieła, które wpadły jej w ręce, a których zrozumieć nie mogła. Uczyła swe wychowanki z gorliwością i miłością, ale z powodu braku wymaganych kwalifikacyi oddalano ją po roku, lub dwóch pobytu. Rozgoryczyło to serce p. Antoniny, rozranione mocno przy każdej rozłące. Szukała ona rodziny, a traktowano ją tylko jako..... nauczycielkę.

Nakoniec osiadła w mieście, dawała lekcye prywatne, biegając po zimnie i słocie, zaziębiła się, wpadła w ciężką, nieuleczalną chorobę i umarła w szpitalu.

Drugą powiastką w tymże tomiku jest „Romanowa,"

drukowana dawniej w „Świcie.“ Pisałam o niej niegdyś w „Tygodniku.“ Jest to prześliczna robota, wykończona misternie, rozrzewniająca do głębi duszy. Bohaterką jest wdowa po pocztylionie, kucharka, mająca syna mularzem, który się rozpił.

„Dobra pani“ jest także dobrze napisaną i poucza, jakim sposobem piękne porywy serca przynoszą szkodę ludzkości, gdy im brak konsekwencyi rozumowej. Bezdzietna, młoda, ładna wdówka nudziła się, ulegając więc zachciance chwilowej, wzięła na wychowanie małą dziewczynkę, córeczkę mularza. Otoczyła ją pieszczotami, zbytkiem, rozbudziła w niej poczucia piękna i różne wymagania, a w końcu, odstręczona trudnościami wychowania dziecka, oddała ją napowrót matce, płacąc tejże 50 rbs. rocznie w przekonaniu, że spełniła, co do niej należało. Nie miała najmniejszego pojęcia o krzywdzie, wyrządzonej sierocie, odwykłej od otoczenia szorstkiego, od brudu i zaduchu chaty wiejskiej, od pożywienia grubego.

Wilgoć i chłód, złe pożywienie sprowadziły chorobę płuc i biedactwo zmarło, wspominając wciąż z żalem przebyte chwile w pałacu.

Drugi tom zawiera niemniej ładne rzeczy: „A. B. C.,“ „W dochodzeniu sądowem,“ „Tadeusz,“ „Gedali,“ „Wieczor zimowy.“ Są to perełki drogocenne.

W „A. B. C.“ niemłoda panna poświęca czas swój nauczaniu biednej dziatwy. Poczucie użyteczności, rozmiłowanie w swem zadaniu dają jej rodzaj szczęścia, ale czyn tak szlachetny ze strony humanitarnej jest karygodnym w oczach rządu, stawiającego cele polityczne na pierwszym planie. Sam fakt zresztą, wzięty z prawdziwego zdarzenia, mówi sam przez się bardzo wiele, jest protestem krzywdy, wyrządzanej biedakom; autorka musiała jednak strzedz się ilustrowania go wyraziście, dla tego robótka ta pozbawioną jest artyzmu.

„W dochodzeniu sądowem“ p. Orzeszkowa porusza także sprawy nader ważne. Potomek starego rodu ziemiańskiego został urzędnikiem sądowym. Jako postępowiec, żywi głęboki wstręt do tak zwanych tradycyi szlacheckich, do czasów patryarchalnych dworu z chatą. Nie ma dość słów na potępienie krzywdzicieli chłopa, ale obok tego w sercu swem żywi głęboką cześć dla pamięci zacnego, powszechnie szanowanego swego ojca. Dochodzenie sądowe w sprawie włościanina naprowadza go na ślad wielkiej krzywdy, wyrządzonej przez tegoż ojca chłopu, krzywdy, o której sam krzywdziciel nie miał żadnego pojęcia; dopuścił się jej przez brak zastanowienia, przez nieznajomość prawdy, przez lekceważenie rzeczy z pozoru drobnej, a która jednak długie i smutne przyniosła następstwa. Ta okoliczność nauczyła zapewne młodego sądownika pobłażliwości dla win przeszłości w ogóle.

„Gadali“ jest także sympatycznym obrazkiem. Stary żyd z workiem towarów na plecach, zdążając po dniu upalnym na nocleg, spotyka groch przy drodze. Piękne stręki, zroszone świeżą rosą, kuszą go, klęka, rwie przysmak i je go z rozkoszą. Wtem zostaje schwytany na gorącym uczynku przez syna właściciela drobnej własności i prowadzony z wymyślaniami od złodzieja i ze szturchańcami do ojca. Stary szlachcic poznaje w biedaku dawnego znajomego, niegdyś zamożnego kupca, i serce jego chwyta żal; zamiast karać szkodnika, zapytuje go o przyczyny zubożenia. Żyd opowiada smutną swoję dolę. Wtem przychodzi do mieszkania drugi syn gospodarza domu, gimnazyasta, przesiąknięty już liberalnemi zasadami, każe biedakowi złożyć ciężar, usiąść, nazywa go „panem,“ a nakoniec, wysłuchawszy smutnego opowiadania, przejęty współczuciem dla nędzarza, całuje go. Rys ten razi czytelnika nieprawdopodobieństwem. Nie można uwierzyć, żeby młodzieniaszek zdołał przezwyciężyć wstręt do cuchnącego, brudnego obszarpańca. Aby uczynić ten fakt możebnym, trzeba było coś więcej opowiedzieć o chłopcu, zrobić go entuzyastą gorącym dla idei, ale na przeciętnego gimnazyastę to za wiele bohaterstwa. Zresztą oprócz tego jednego rysu opowiadanie całe nosi cechę prawdy i badania z natury, jak wszystkie ostatnie prace p. Orzeszkowej.

„Tadeusz“ jest pieścidełkiem uroczem. Treści nie ma tam żadnej — ale jest znakomite obrazowanie rodziny chłopskiej na tle przyrody bujnej, rozkwitłej wśród lata. Tadeusz jest dwuletnim synkiem fornala, pieszczochem obojga rodziców, używa w całej pełni wegetacyjnego życia. Śpi z rana rozkosznie, przykryty przed muchami; zbudzony, pije z rozkoszą podane w garneczku mleko słodkie; zaprowadzony do ogrodu, gdzie matka miała pleć z chwastu zagony, goni za ptaszkiem, motylkiem, kwiatkami, wszystko mu się podoba, wszystko go zachwyca, robi szkody bezwiednie, depce i łamie roślinki, sądząc, że cały ten piękny świat należy do niego; zresztą nie zdaje sobie sprawy z niczego, używa tylko rozkoszy życia, nieszkodliwych jeszcze dla jego organizmu, przeciwnie, sprzyjających wybornie rozwojowi. — Szkoda, że tak krótko można być „Tadeuszem.“

„Zimowy wieczor“ jest nieco dłuższą powiastką. Rodzina chłopska, zgromadzona około komina w wieczor zimowy, rozmawia o sławnym Bąku. Rozbójnik ten, kilkakrotnie więziony, uciekał zawsze, nakoniec wywieziony na Sybir do katorgi, stamtąd się wymknął i ukrywa się gdzieś w okolicy. W ciągu owej rozmowy otwierają się drzwi i wchodzi jakiś nieznajomy mężczyzna, podróżny, prosząc o nocleg. Gospodarz nie odmawia prośbie. Rozmowa o Bąku toczy się dalej, a wędrowiec zdradza się ze znajomością wielu szczegółów życia tego rozbójnika, probuje go uniewinniać, ale spotyka się ze surowym sądem i z postanowieniem wydania złoczyńcy sądowi, jeśliby popadł w ich ręce. Podróżny umilkł, a po chwili zaczął rozpytywać o nieobecnych członków rodziny — o najstarszego syna. Zapytany, skąd wie o istnieniu Jaśka, powiada, że, jako robotnik, pracował przy budowli nowego dworca. Może być, tylu tam było ludzi i to już tak dawno — a nawet przypomniano sobie tę twarz, jako znajomą. Stary gospodarz rozgadał się, opowiada o Jaśku. Chłopak był skory do bójki, nikogo nie słuchał, rzucił się na władze rządowe — zabrali go i wywieźli . . . nie ma żadnych wieści o nim — może umarł w katordze. . . . Opowiadanie to obudziło żywe wspomnienia, stary wpatrzył się w przybysza i patrzał długo w zamyśleniu. Wtem do izby zaczynają się schodzić dziewczęta na wieczornice. Każda przynosi kółko do przędzenia i otaczają ognisko. Za niemi podążają parobcy; dziewczyny tarasują drzwi, nie chcąc puścić psotników, ale to tylko psota z ich strony, wie o tem stara babka, więc drzwi otwiera i wprowadza gości. Rozpoczynają się figle, palenie kądzieli, przekomarzania się wzajemne. Wreszcie babka opowiada powieści. W czasie słuchania zwrócono uwagę na przybysza. Kto on? Skąd on? Komuś przyszło do głowy, że to może Bąk. Parobcy podchodzą i zapytują o paszport. Zaczepiony zamiast odpowiedzieć rzuca się ku drzwiom. Rozpoczyna się walka. Wołają o powróz dla związania złoczyńcy. . . . Wtem podnosi się siedzący w zamyśleniu gospodarz, napastnikom rozkazuje ustąpić, a sam wyprowadza podróżnego na gościniec. Pani Orzeszkowa jest zawsze wierną swej zasadzie. Uczy wyrozumiałości dla występnych. Jest to zasada chrześciańska, ale ponieważ każda cnota, nieutrzymana w mierze, staje się wadą, więc społeczeństwo winno być ostrożne w zastosowaniu owej pobłażliwości dla błędów bliźniego. Jednym z potężnych hamulców przeciw złemu jest niezaprzeczenie opinia. Ciężko nam przychodzi zżyć się z pogardą ludzką; obawa owej pogardy powstrzymuje zapewne bardzo znaczny procent jednostek od popełniania zdrożnych czynów. Przesadzoną cnotą wyrozumiałości dla grzechów ludzkich zabilibyśmy opinią. Dla tego katechizm do cnót kardynalnych zalicza roztropność i sprawiedliwość; zbytnia pobłażliwość nie zgadza się ani z roztropnością, ani ze sprawiedliwością.

A. M.

Jak żywić niemowlęta i dzieci,

napisał

Dr. Józef Koszutski.

(Ciąg dalszy. — Zob. Nr. 8.)

Mleko zupełnie zdrowej matki, lub żywicielki może nie posiadać należytego składu i stąd dziecku nie służyć. Jak ważną tu odgrywa rolę wpływ pokarmów i napoi, przyjmowanych przez osoby karmiące, wykazał nam w końcu roku zeszłego Dr. Zaleski z Dorpatu*) i do następujących doszedł wniosków:

1. Mleko kobiet, w tłuszcz za nadto obfite, może samo przez się wpływać szkodliwie na odżywienie — a zatem na wzrost i rozwój dziecięcia.
2. Potrawy, obfitujące w białko, sprowadzają bardzo znaczne podniesienie się tłuszczu w mleku karmiącej; równocześnie obniża się ilość cukru.**) Napoje wyskokowe wywierają także podobny skutek.
3. W danym przypadku jesteśmy w stanie przez odpowiednią dyjetę i pożywienie karmiącej osiągnąć najodpowiedniejszy pokarm dla niemowlęcia.
4. Wpływ pożywienia na skład mleka zdaje się być taki sam u ludzi, co i u zwierząt.
5. Tłuszcz mleka w dość znacznej prawdopodobnie ilości tworzy się pośrednio, lub bezpośrednio z istot białkowatych pokarmów.

Po powyższych wywodach, które w zakres naszego tematu wciągnąć uważaliśmy za konieczne, aby wykazać, jak to rozwój niemowląt od żywienia się karmiących je osób zależy, i że wytwarzanie się zdrowego mleka na pewnych opiera się danych, wypada nam choć po krótce podać jeszcze, czem troskliwe matki żywić mają swe zastępczynie, aby ich pokarm odpowiednie posiadał własności i przysparzał z dniem każdym wagi niemowlęciu.

Wiedeński lekarz Dr. Aloizy Bednař***), gdy jest mowa o żywieniu mamki, twierdzi, iż tejże służą te potrawy najlepiej, do których żołądek jej od dawna jest przyzwyczajony i te, które łatwo trawi. Silne rosoły i mięsne, soczyste potrawy, udzielane mamce ze wsi przybyłej, spowodują niestrawność jej mleka. Najlepiej wychodzi na tem tak mamka, jak i dziecina, gdy pierwszej pozwoli się prowadzić tryb życia, który się, ile możności, najwięcej zbliża do trybu, do jakiego od dawna przyzwyczajoną była. W ogóle niechaj pożywienie mamki będzie proste, lecz w dostatecznej ilości, składające się z mięsnych, mącznych i roślinnych potraw. Unikać zaś winny potraw korzennych i kwaśnych — zbyt świeżego pieczywa, jarzyn strączkowych, wreszcie i surowych, a co gorsza niedojrzałych owoców.

Dodać tu jeszcze trzeba, że żywicielki powinny pożywienie to przyjmować w regularnych czasu odstępach — i bez nadzwyczajnego pospiechu. — Przede wszystkiem powinny potrawy stałe pogryźć dobrze i dostateczną ilość ślin do nich dołączyć, zwłaszcza zaś do mącznych.

Za napój niechaj im służy lekka herbata, woda i piwo — i to z małą tylko zawartością wyskoku.

Do powyższych wskazówek koniecznie dołączyć nam jeszcze wypada, iż czystość i ruch dostateczny w domu, jak i pobyt na świeżem powietrzu ważną tu odgrywają rolę w wytwarzaniu się mleka.

Że żywicielka ma niemowlęciu podawać pierś regularnie, jak to już powyżej u matek karmiących wykazaliśmy, przestrzeganem pilnie być winno. To regularne zwalnianie piersi z wytworzonego mleka, oddziaływa także zdaniem Tussenbroeka*) na obfitość jego produkcyi.

Najlepszym kamieniem probierczym, czy niemowlęciu służy pokarm matki, lub jej zastępczyni — oprócz wyglądu ogólnego — jest i pozostanie waga.

Pierwsze wskazówki, dotyczące doniosłości ważenia niemowląt, zawdzięczamy Burdachowi i Chaussierowi. Lekarze ci zauważyli, że dziecina, przybywszy na świat, przez kilka dni pierwszych traci na wadze swego ciała — i że objaw ten nie jest chorobliwym, lecz fizyologicznym. Spotrzeżenia te potwierdzili następnie: Quetelet, Haake, Winkel, Kehrer, Gregory, Kezmarsky i inni.

I tak podają nam ubytek wagi u stu dzieci:

	Haake-Winkel —	Quetelet
w 1-szym dniu życia niemowlęcia	90 gramów.	94 gram.
w 2-gim dniu życia niemowlęcia	78 „	79 „
w 3-cim dniu życia niemowlęcia	51 „	50 „
	219 gramów.	223 gram.

w przecięciu zatem przez pierwsze trzy dni straciło zdaniem ich dziecko na wadze 220 gramów.

Wskazówka ta nader jest ważną i powinna nas chronić od niewczesnych obaw, dotyczących odżywiania się niemowlęcia w pierwszych dniach jego życia.

Bouchaud**) podaje nam, iż waga nowonarodzonego dziecka wynosi w przecięciu 3250 gramów. (Najniższą wagą u dzieka zauważył Ritter; wynosiła tylko 717 gramów (1¼ fnt.) — największą zaś Wright, wynoszącą 6123 gramów.) Z końcem pierwszego roku życia wynosiła waga chłopców 9450 gramów, dziewcząt 8790, czyli prawie trzy razy tyle, co pierwotnie wynosiła. Bouchaud, biorąc przeciętną wagę niemowlęcia, 3250 gramów, tak wzrost wagi jego ciała rozdziela:

Miesiąc.	Codzienny przybytek wagi.	miesięczny przybytek wagi.	a zatem ogólna waga ciała.
1 . . .	25 gramów	— 750 gramów	— 4000 gram.
2 . . .	23 „	— 700 „	— 4700 „
3 . . .	22 „	— 650 „	— 5350 „
4 . . .	20 „	— 600 „	— 5950 „
5 . . .	18 „	— 550 „	— 6500 „
6 . . .	17 „	— 500 „	— 7000 „
7 . . .	15 „	— 450 „	— 7450 „
8 . . .	13 „	— 400 „	— 7850 „
9 . . .	12 „	— 350 „	— 8200 „
10 . . .	10 „	— 300 „	— 8500 „
11 . . .	8 „	— 250 „	— 8750 „
12 . . .	6 „	— 200 „	— 8950 „

Powyższe liczby posłużyć mogą matkom za wskazówkę, czy pokarm ich, lub też ich zastępczyń wystarcza dla niemowlęcia, i czy ono także odpowiednio do wieku na wadze swéj przybiera.

*) Dr. Stanisław Szczepan Zaleski (Dorpat). O wpływie pokarmu na skład i pożywność mleka kobiecego. Gazeta lekarska Nr. 46 i 47. 1887 r.

**) Ilość tłuszczu u karmiących, a obfite i z białka przeważnie się składające pożywienie przyjmujących osób dochodziła do 6,29%, cukru zaś wynosiła 4,40. — Porównaj i zobacz str. 46 „Domu polskiego."

***) Dr. Alois Bednař. Kinder Diätetik, oder naturgemässe Pflege des Kindes in den ersten Lebensjahren. Wien 1857. Strona 82.

*) A. P. C. van Tussenbroek. Over normale en abnormale Melkafschäding. Dissertation. Utrecht 1887.

**) Klinik der Paedriätrik. Dr. Ludwig Fleischmann. Die Ernährung des Saüglingsalters dargestellt auf wissenschaftlicher Grundlage. Wien 1875. Strona 157.

(Ciąg dalszy nastąpi).

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

„Przegląd pedagogiczny“ podaje wiele pożytecznych artykułów dla rodziców i pedagogów, i tak w numerze 4 tegoż czasopisma znajduje się wielce pouczająca rozprawka p. Czarnockiej: „O marnotrawstwie dzieci,“ z której pozwalamy sobie przytoczyć wyjątek, odnoszący się w szczególności do obudzania w dzieciach rzeczywistego współczucia dla nędzy. Autorka mówi między innemi: „Jest sposób powstrzymania dzieci od marnotrawstwa, który mógłby mieć wielkie etyczne znaczenie. Dzieci starsze nawet nie mają pojęcia, co to jest bieda i nędza, a jednak, gdyby wiedziały, że sukienki, niszczone nieopatrznie, okryłyby niejedno dziecko, które zziębłe, w nędznem ubraniu przebiega ulice miasta, lub drży z chłodu w nieopalonem mieszkaniu, gdyby wiedziały, że ten chleb, który kruszą i rozrzucają, nakarmiłby zgłodniałego nędzarza, że zabawka, psuta lekkomyślnie, byłaby szczęściem dla dziecka niedoli, które może nigdy w życiu nie doznało żadnej przyjemności, gdyby im od pierwszych lat dzieciństwa wpajano zasadę, że grzechem jest marnowanie darów Bożych, gdy tyle ludzi cierpi z braku zaspokojenia najpierwszych potrzeb, z pewnością bezmyślny pociąg do marnotrawstwa ustąpiłby miejsca chęci przyjścia w pomoc upośledzonym od losu. — Zwykle rodzice, chroniąc dzieci od bezpośredniego zetnięcia się z nędzą, starają się obudzić w nich współczucie dla niej w ten sposób, że każą dzieciom zebrać niepotrzebne sukienki, lub inne rzeczy i odsełają w ich imieniu ubogim. To jednak nie jest wystarczającem; dziecko obojętnie wykona polecenie rodziców; nie odczuje zadowolenia, jakie daje spełnienie dobrego uczynku; w jego serduszku litość się nie rozbudzi, bo i skądby się miała rozbudzić, kiedy ta nędza, o której mówią, pozostaje dla niego zawsze czemś zupełnie abstrakcyjnem? Niech raz jeden rodzice zaprowadzą dziecko — starsze już naturalnie — do sutereny, niech tam zobaczy podobne sobie istoty, nawpół odziane, głodne i zziębłe, niech zobaczy te szare ściany, kapiące wilgocią, te puste kąty, z których wyziera nędza, a ten widok więcej je nauczy i wymowniejszym będzie, niż wszelkie zachęty do miłosierdzia i przestrogi, skierowane przeciw marnotrawstwu.“

†

W miesiącu styczniu r. b. umarł we Francyi August Nicolas, autor znanego powszechnie dzieła: „Etudes philosophiques sur le christianisme,“ tłomaczonego na język polski p. t. „Badania filozoficzne o chrystyanizmie“ i drugiej, również na język nasz ojczysty przełożonej książki: „La divinité de Jésus-Christ, demonstration nouvelle.“ („Bóstwo Jezusa Chrystusa, nowe dowody, z ostatnich napadów niedowiarstwa wyciągnięte.“ Św. p. August Nicolas, urodzony 1807 r., ukończywszy fakultet prawniczy, został sędzią pokoju, a później naczelnikiem jednego z wydziałów w ministeryum wyznań. Jako autor, stawał zawsze w szeregu obrońców wiary katolickiej, czego dowodem przytoczone tytuły dwóch znakomitych dzieł jego.

Rozwiązanie logogryfu w nr. 8 „Domu polskiego.“

1. Jontek. — Ouida. — 3. Altwasser. — 4. Cerigo — 5. Hotel — 6. Illinois. — 7. Marwicz. — 8. Lutynia. — 9. Ej! — 10. Lamartin. — 11. Erato. — 12. Wawrzyniec. — 13. Eisenach, — 14. Letycya.

Joachim Lelewel. — Karol Szajnocha.

Dobre rozwiązanie nadesłali pp. J. Breza i Lucyan Theurich z Gniezna; Stefania Chrzanowska i Zofia Rutkowska z Poznania.

Łamigłówka kryształowa.

Sylaby: a, a, a, cze, e, e, fe, ja, ka, ka, la, lan, man, me, mi, nek, nes, ra, ra, rej, ry, s, sa, sław, sto, szy, szłe, u.

Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Przestrzeń czasu w chronologicznej rachubie lat. 3. Część ciała ludzkiego. 4. Imie mękie. 5. Dawna godność w Polsce. 6. Bohaterski wódz i król Meseńczyków. 7. Miasto sławne starożytnym uniwersytetem. 8. Imie kobiece. 9. Doba. 10. Poeta. 11. Spółgłoska.

OD REDAKCYI.

Dzisiajszy numer „Domu polskiego“ jest ostatnim w bieżącym kwartale. To zaznaczając, dziękujemy zarazem serdecznie szanownym współpracownikom naszym — tak autorkom, jak autorom — również łaskawym czytelnikom - prenumeratorom za wspieranie pracy i szczerych usiłowań redakcyi w celu rozwoju i udoskonalenia pisma i polecamy Im nadal wydawnictwo „Domu polskiego“, prosząc usilnie o popieranie go w nadchodzącym kwartale jak najliczniejszą prenumeratą, którą już dzisiaj przypominamy, by z opóźnienia nie nastąpiły nieuniknione nieporządki i przerwa w przesełce numerów.

Przy tej sposobności wypowiadamy otwarcie nasuwającą się mimowoli przy przeglądzie listy prenumeratorów naszych uwagę, że największy ich zastęp stanowi prowincya, a bardzo mała tylko stosunkowo liczba przypada na gród wielkopolski.

Natomiast iluż to z rodaków naszych — jak równocześnie słusznie z żalem zaznaczył Dziennik i Kuryer poznański — „popierają polskim groszem wrogą nam prasę niemiecką“, taką np. „Kreuz Ztg.,“ wyszydzającą odpusty i w ogóle praktyki kościoła katolickiego, i wiele innych tejże podobnych, nienawistnych religii i narodowości naszej organów, w których — powtarzamy za Dziennikiem — „tyle namiętnych przeciw nam wycieczek, zjadliwych szyderstw, nieustannych kłuć większych i mniejszych!“.....

Oby szanowne obywatelstwo nasze uwzględnić i uznać za słuszne zechciało te serdeczne skargi i żale pism polskich, oby większą, niż dotąd, otoczyło je opieką, nie pozwalając dawniejszym, lub zaledwie powstałym upadać, ale przeciwnie, przyczyniało się skutecznie do ich podniesienia, rozwoju i rozkwitu oszczędzonym, mianowicie na niemieckich dziennikach i czasopismach, groszem swoim.

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.